



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

OD WYDAWCY.

Nowi prenumeratorowie na żądanie otrzymać mogą bezpłatnie początek powieści

Z biegiem fal,

której druk w roku zeszłym się rozpoczął.

POGA WĘDKA.

Długo a długo oczekiwaliśmy zimy, tej wspa-
niałej królowej o szacie śnieżnej, błyszczącej bry-
lantami mrozu, tej niezrównanej malarki kwiatów
na szybach naszych okien; gniewało nas niebo
bez roziskrzonego słońca, nużyła jednostajność
dni szarych, irytowały chmury kapiące wciąż de-
szczem, słowem narzekaniom nie było końca,
a tymczasem nie się nie zmieniało na ziemi i nie-
bie: wiatr tęskno zawodził, z dachów kapła wo-
da, słońce wschodziło i zachodziło niewidziane
przez oczy nieczyje.

— Oto, panie, pogoda!—mówił pan Serwacy do
Bonifacego.

— Niby ciepło, ale to dobre na Październik lub
Listopad nie na ostatnie dni Grudnia. Ja lubię
mróz co się zowie, choćby dwudziestostopniowy,
inaczej człek zaraz oddycha.

— Ba, ba!—wtórzył pan Serwacy — zdaje się
jednak, że już zima zawitać do nas nie myśli
i będziemy zmuszeni dreptać po błocie i Bóg wie
jakim powietrzem oddychać.

— Musimy z niej skwitować — to oczywiście!

— Chłapie i chłapie... brrr!

— Brrr!—powtórzył pan Bonifacy i rozeszli się
niezadowoleni, że rtec w termometrze nie ma wca-
le zamiaru opadać niżej zera.

Aż, ot, nazajutrz wyblękieło się siarczyście,
słońce oślepiający blask rzuciło i skrzy się bry-
lantami w pokrytych mrozem szybach okien. Mija
dzień jeden, drugi i dziesiąty... Rok stary, konając
zmroził ludzi, nowonarodzony wyiskrzył się jesz-
cze lepiej, przestrzeń między niebem a ziemią
kryształem wylał i zdaje się, że nie prędko mrozi-
k myśli ustąpić, czyniąc zadość żądaniom panów
Bonifacego i Serwacego.

— Oto, panie, zimno!...

— Niech ręka boska broni! U mnie wszystkie
okna pozamarzały, a co węgla wychodzi —
strach!...

— Dobre to byłoby gdzieś w strefie podbiegu-
nowej, ale u nas?... Brrr!

— Brrr!...—powtórzył pan Serwacy i rozeszli
się niezadowoleni, że rtec w termometrze niema
wcale zamiaru podnosić się wyżej zera.

Dogodzić ludziom nie sposób—to prawda, jak
świat, stara; ale Rok Nowy pod niedobrą wróżbą
się rozpoczął i—pomijając niezadowolenia takich
panów Bonifacego i Serwacych — dużo fermentu
wzbudził tam, gdzie żadnych kwasów, żadnych
niezadowoleń być nie powinno.

Mamy tu na myśli spór dwóch ludzi uczonych,
powstały z przyczyny wiadomych posiedzeń z Eu-
sapią Palladino.

Dawno nie wspominaliśmy nie o tych medi-
umicznych seansach. Jeżeli wyraziliśmy swoje
przekonania, że z powodu utrudnionej kontroli

(nie mówię już—niemożliwej wcale) odbywane
podczas ciemności lub przy słabym świetle lampy
świecy nawet i to przykrytej ekranem, trudno
b. dzie stanowczo powiedzieć, czy działa tu siła
jakaś nieznana dotąd w nauce czy zwyczajne
a sprytnie kuglarstwo: nie przypuszczaliśmy, aże-
by chęć dowiedzenia się prawdy, sprzeczne zapa-
trywanie się na owe zjawiska uczestników tych
posiedzeń, mogły rozbudzić tyle namietności i za-
miał spokojnego traktowania przedmiotu, bądź
co bądź godnego uwagi, choćby dlatego, że ma
swoich wyznawców i pokażną już nawet literatu-
rę—spór, mający na celu oświecić ciemne głowy
profanów, przybiera niemiłą formę osobistych na-
paści, dotkliwych dotyków, tracąc tym sposobem
na swojej wadze, niewzbudzając ani ciekawości,
ani rzetelnego zaufania do stron walczących. Dla
czego zwolenników nowej siły gniewa stanowcze
twierdzenie pana Rajchmana, że Eusapia wypra-
wia sztuki?—Czy sprowadzono ją li tylko w celu
zabawy?

Nie.

A jeżeli — nie, wolno jednym wierzyć, wątpić
innym; dyskusja powinna być otwarta, a prowa-
dzona zupełnie spokojnie i poważnie. Obojętnem
powinno być w tej chwili kto ma słuszość: twier-
dzący czy przeczący. Pytanie jeszcze nie roz-
trzygnięte, żadna ze stron do ostatecznych wyni-
ków nie doszła, a już są gniewy i zarzuty gma-
twające całą sprawę i w coraz większe pograża-
jące ją ciemności. *Chcielibyśmy*—ten wyraz pod-
kreślamy nawet, ażeby nowa, śmiała, twórcza, że
się tak wyrażę, doskonała i dziwnie ścisła w swej
loice hipoteza pana Ochrowicza — okazała się
prawdą; mielibyśmy, od tak dawna, od wieków
nawet napróżno szukany klucz do wrót żelaznych;
ale—gdyby cały mediumizm okazał się niczem
więcej jak tylko brzydkim kuglarstwem, odkrycie
takie nieubliżyłoby w niczem twórcy śmiałej hy-
potezy, byłoby tylko dowodem potężnej siły jego
umysłu, sprzedającej fakta, które, przy blizkiem

zbadaniu, mogły całkiem postawionej *a priori* teorii nie odpowiedzieć. Hypoteza mogłaby upaść, lecz ten, który ją postawił wstydyby się powodu wcale nie miał. Tymczasem namiętna obrona nie- stwierdzonych dostatecznie jeszcze faktów graniczy z zapamiętaniem się, oślepieniem, którego nie przekonać, nie już rozproszyć nie będzie zdolne. Ogół pozostanie w ciemności w jakiej był i przed tem, z tą tylko różnicą, że straci wiarę w bezstronność ludzi, mających snopek światła rzucić mu pod nogi — a obrażona prawda innych czasów i innych badaczy czekać będzie.

A zamiary tak piękne były! I psuje to wszystko owa, niezrozumiana przez nas namiętność walczących za nową prawdą obozów.

Ostatecznie walka zostanie nierozegrana. — Jeżeli pani Eusapia jest sprytną kuglarką, można przypuszczać włos, którym porusza dzwonek na pałacze, można nawet przelotnie dostrzedz szpilki, za pomocą której podnosi deseczkę, ale ni włosu ni szpilki żaden z najbaczniejszych obserwatorów chwycić nie będzie w stanie. Na to nie pozwoli zręczność sztukmistrza, zręczność nabyta długimi latami wprawy, przewyższająca pod tym względem wszelkie nasze pojęcie o niej. Nieuchwycenie włosu lub szpilki nie jest żadnym dowodem, że tej szpilki lub tego włosu nie było; niezbitym dowodem działającej siły, byłoby to, gdyby wiadome nam zjawiska odbywały się w warunkach, w których oczy mogłyby doskonale widzieć, a wszelka kontrola niczem krępowaną nie była. Ponieważ to jest niemożliwe, niemożliwym jest przekonanie niedowiarków, i gra w stołowe nogi nie prędko wyjdzie z zakresu dziwacznych zabawek...

Ale co powiedzieć o ludziach dużego rozumu: Crookes, Wallace, i t. d. o naszych wreszcie uczonych, na których żaden zarzut, tyczący się ich strony moralnej i umysłowej spocząć bezkarnie nie może?

Tak! co powiedzieć?..

Dla nas to wszystko staje jako dziwna psychologiczna zagadka. Ludzie, którzy naukowo zaczęli badać omawiane przez nas zjawiska, którzy uwierzyli w nie całą mocą, przylgnęli całą siłą niezachwianej już niczem wiary, którzy nawet w tych mediumicznych objawach (jak Wallace) widzą stanowczo religią przyszłości: byli to prze- ważnie pozytywiści, odarci przez naukę z wszelkich złudzeń i wierzeń, dla których Bóg był pusty, filozoficznym frazezem, nieśmiertelność duszy rozwiązana zagadką nicości, świat nadprzyrodzony pięknym na jawie snem, cuda Chrystusa i Jego wybrańców bajką dziejową. Z niewiadomości powstałi, w niewiadomości utonąłi. Najwyższe ideały ludzkości stały się czczymi wyrazami i — coś pustką do koła nich powiało. — Do dawnego Boga, do dawnych wiar, których się raz wyparło i odrzuciło, niełatwo powrócić, a tymczasem ta pustka rozszerza się straszliwie, jak otchłań czarna, przerażająca, niczem już, niczem niewypełniona. Coś rzucić w nią potrzeba, wypełnić czemś, bo chłód okrutny z niej wieje, bo ta głębia wieczystej martwoty — zabija! — I hudaż się nieświadome pragnienia czegoś, co by stanowiła antytezą było tego, co jest tak nikczemnie skończone. Wyśmiany po tysiącokroć świat duchów wraca znów do nas i przemawia, tylko już nie jasnowidzeniem, nie wieszczami prorocstwami Ezechieliów i Skargów, nie wspaniałą improwizacją Konrada, mówiącego: czuję, że nieśmiertelny, bo nieśmiertelność tworzę, lecz — za pomocą lewitacji nóg stołowych, głupich pukań, nie mówiąc nic poruszaniem się opiętej szpilki kotary, i tak dalej i dalej. — I oto powstaje nowa wiara, od której odszczepieńców niema, mówi Wallace — nowa religia, mająca ludzkości szczęście zapewnić, dać niezbity dowód, spragnionemu nieśmiertelności duchowi człowieczemu, że nie wszystko w grobie się kończy, bo oto John King, niewidziany przez nikogo w stół puka, daje o sobie znać tupaniem butów lub klaskaniem w palce. A czy to będzie siła działająca zewnątrz nas, czy z nas wychodząca, pytanie o nieśmiertelności duszy, które dotychczas było kwestią wiary, to obecnie, dzięki zjawiskom mediumicznym, kwestya ta, po raz pierwszy staje na gruncie pozytywnym.

Chcielibyśmy, powtarzamy raz jeszcze, ażeby nie nie zaprzeczyło powyższemu słowom. Będzie tak czy inaczej, zwyciężą eusapiści czy antieusapiści — może niedaleka przyszłość pokaże; dla nas tylko, w tej chwili, namiętna obrona pierwszych jest jednym więcej dowodem, że z wieków skończoności wyrwa się wciąż duch ludzki, że nie mając innych pewników swej nieśmiertelności, prócz *czucia* jej lub pragnienia — szuka tej utraconej potęgi swojej w błahych może objawach szwaczki neapolitańskiej, oślepia się niezrozumianymi na razie dla siebie zjawiskami, przekonany nawet, nie chce się przyznać do tego i oszukuje sam siebie, by znów nie stanąć nad ową otchłanią nicości, od której się na chwilę odwrócił i szerzej, pełniej odetchnął...

Tem tylko tłumaczymy przedwczesne roznamiętnienie się z powodu wiadomych nam wywodów przeciwnika mediumicznych objawów, który rzecz swoją przeprowadzał z całym spokojem, i jakkolwiek nie widzimy zbyt przekonywających tam danych, miał prawo głosu i mógł spokojnie czekać na opinię w tym względzie przeciwnego obozu, po której dopiero powinna się była wywiązać poważna dysputa, rozświetlająca ciemne strony medalu. Tak, jak jest — nie zmniejszą się wcale ciemności, zostaną tylko rozterki, gniewy, zawiści — smutne, bardzo smutne objawy ulomnej natury ludzkiej.

Nie chcielibyśmy wcale poruszać przedmiotu o jakim rozpisaliśmy się dość długo nawet, ale zostaliśmy do tego wezwani przez grono wiejskich czytelników naszych, chcących wiedzieć, co sły- chać o Eusapii w Warszawie, dla czego i jaki to spór zawiedli między sobą uczeni, wreszcie — gdzie jest prawda?

Bal.. nie łatwa odpowiedź.

Osobiste zdanie nasze w tym przedmiocie, nie- rozwiązałoby wcale tej kwestyi. Czekajcie cierpliwie wraz ze mną, łaskawi czytelnicy, dopóki, się owe nieporozumienia nie skończą, jakkolwiek i po tem zły duch mi wciąż szepce — nie będziemy mędrsi o włos jeden w tej zagmatwanej spirytystycznej czy mediumicznej sprawie.

Ale, niech panowie Serwacy i Bonifacy, wyrzekają na mróz szczypiący nietościwie ich policzki; niech pani Eusapia zamąca spokój umysłów ją badających nie na to nie poradziwszy, powiemy tylko, że dla nas, osobiście, ów rok nowy rozpoczął się wcale dobrze i pewną wielą przy- jemność nam sprawił z powodu jednego listu, przesłanego przez redakcyą niniejszego pi- sma — domyślasz się pani do kogo — do autora tych pogadanek.

Cóż jest przyjemniejszego dla pisarza, jeżeli słowa jego nie znikną jak dźwięk pusty, ale zapa- dną głęboko w serce czyjeś, choćby w jedno tylko serce nawet, które je rozumie, odczuje, pomyśli nad nimi chwil parę i dostrzeże prawdę wysnutą z obserwacji życiowej, dopatrzy czasem radę do- brą, której w danej chwili posłuchać nie zawadzi. Sława twojego listu, pani pisanego zdaleka, bo aż ze Lwowa — były prawdziwą nagrodą dla kronika- rza, którego obowiązkiem jest niezmęczenie dłoń trzymać na sercu społeczeństwa i odczuć każde jego drgnienie.

Nie przypuszczasz może nawet pani, jak trudna jest ta rola pisarzy. Nie każdemu z nich sądzono wielkich dokonywać czynów, ale i malutkie ziarno uczciwą ręką rzucone przydać się może, choć by dłoń siewcy rzuciła je na łan okiem nieobjęty, bo bądź co bądź nie dostrzegą go ludzie, jednak ten łan olbrzymi bogatszy będzie o jeden kłos psze- niczny. Często ów siewca skromny schodzi ze świata, nieznany a kłos jego rośnie, dojrzewa i idzie na pożytek ludziom i ziemi.

Lecz cóż dorównać może radości siewacza, je- żeli właśnie to ziarno rzucone przez niego, dostrze- żone przez kogoś zostanie i ów *ktoś*, po kłosku je pozna i powie:

— To twój!

Usunął się może — nieznany, lecz — nie bez na- grody.

Jam jestem tym siewcą — ty, pani, owym *ktosiem*, który skromniutkie, ale dobre to ziarneczko do- strzegłaś.

I dlatego mówię, że dobrze mi się rozpoczął Rok Nowy.

Piszesz mi, pani, że „zawsze z niecierpliwością“ oczekujesz pogawędek moich, że „Pogawędka“ z dnia 25 Maja r. z. zajęła twoją uwagę. Zwró- ciłem się tam do młodych żon i narzeczonych, a mówiłem o szczęściu w życiu małżeńskim, które częstokroć zmarnowaniem zostaje z winy tych właśnie, od których samo zależy. Zapamię- tałaś, pani, słowa, które wypowiedziałem pod świeżem wrażeniem zepsutego szczęścia dwojga ludzi, zepsutego dla czego? — że młoda kobieta drobnych przeciwności codziennego życia znieść nie umiała, że jakkolwiek nie robiła głośnych wymówek mężowi, iż nie otoczył jej zbytkiem, do którego była przywykła — co chwila jednak spotykał jej wybranego wyrzut milezający, że inne mają więcej niż ona. Były to drobne szpileczki, lekkie ukłócia, aż z nich się duża, boląca stwo- rzyła rana. Będąc świadkiem ich życia, widziałem blahość powodów do tych wymówek, a sku- tek ogromny. I nakreśliłem, te przez ciebie, pa- ni, zapamiętane słowa: „unikajcie szpilkowych ukłóc, bo one dla tych, którzy was kochają, są gorsze od cięć wszelkich ostrym mieczem zada- nych.“

Zdanie to, według słów twojego listu, przy- sporzyło ci wiele chwil szczęścia, bo nieraz, gdy to malutkie, szpilkowe ukłucie już, już miało ugo- dzić w pierś twojego wybranego, stawało ci ono żywo w pamięci i „zamiast ostrej uwagi“ uśmiech poruszał twe usta.

Nie dopowiedziałas mi, pani, że ten uśmiech był mile przez twego narzeczonego witany, że jeżeli ukochany twój zasługiwał nawet na pe- wne, ostre skarcenie, ten właśnie twój uśmiech pokonywał go, zmuszał do przyznania się (choć- by milezając) do błędu, a w sercu stawało się mu jaśniej i — jeżeli kochał silnie, w tej chwili kochał jeszcze silniej.

Nie prawda, pani?

Zapytaj o to narzeczonego, a słowem moim nie zaprzeczy.

„Lecz — dodajesz pani, w tym bezimiennym swym liście, do bezimiennego gawędziarza pisa- nym — podobno łatwiej być dobrą narzeczoną, niż żoną... a ja nie w kwiecie trójlistnego bzu pra- gnę szukać szczęścia.“ I piszesz dalej, bym ci wskazał obowiązki dobrej żony a przysporzyłbym może trochę szczęścia na świecie. „A podobno go jest bardzo mało, choć ja w to nie wierzę.“

Śliczna, pani, jest ta niewiara twoja, niech ona nigdy ciebie nie opuszcza a już część szczęścia mieć będziesz. Nie rozczaruję jednak ciebie, gdy powiem, że szczęście to rzadki ptak. Nie dla- tego jednak tak mało tych ptaków na ziemi, że do niej lotu swojego nie zniżają, ale dlate- go, że nie umiemy go w tym locie pochwyć i za- trzymać. Pojęcie szczęścia jest rzeczą zupełnie wzglę- dną: różni, różnie je rozumieją. Są pasibrzuchy, którzy je widzą w wybrednem a sutem jadle, są trzpiotliwe motyle, które go szukają w bezcelo- wej pogoni z kwiatka na kwiatek, ale to jest szczęście niegodne istot, które mają cel wyższy do spełnienia w ziemskiej swojej wędrówce, któ- re powinny nietylko patrzeć *na siebie* ale w *siebie* powietrze wehłonać przepelnione nieraz łzami biednych, skargą opuszczonych a czasem wiel- kim płaczem bólów wielkich. Nie zamykaj wte- dy oczu, pani, nie przykładaj dłoni do uszów, — chłoń to powietrze, bo musisz być jedną ze strun tej wielkiej arfy świata, jednym dźwiękiem za- łobnej nieraz piosnki.

Nie przerażaj się, pani — to nie jest nieszczę- ściem. Przeciwnie, szczęściem, że w szczęściu czy nieszczęściu nie będziesz osamotniona; że jesteś poważnym dźwiękiem hymnu, że należysz do ca- łości pieśni, że ją rozumiesz, że nie zginęłaś w tym wielkim koncercie świata.

Ale ty mnie w tej chwili o co innego pytasz. Ty, pani, w tej chwili może wkładasz ślubną obrączkę na palec i chcesz być szczęśliwą wśród czterech ścian swojego pokoju, przy boku męża, dla którego chcesz być dobrą i tkliwą. Pytasz mię, co czynić wypada, ażeby to ciche, domowe szczęście jak najdłużej utrzymać?... I w szczerzej spowiedzi swojej przedemną mó- wisz:

„Nie mam doświadczenia, kroku jednego nie zrobiłam dotąd na świecie bez rodzicielskiej opie-

ki, jestem rozpieszczonem dzieckiem, którego życzenia były zawsze spełnione, mam bardzo, bardzo wiele wad... czy może być ze mnie dobra żona?"

W tem pytaniu—spoczywa i odpowiedź.

Kto spojrział raz tylko głęboko, głęboko w serce własne i nie przecenił swych zalet, przeciwnie, wiele wad nawet dojrzał, ten—a w tym wypadku,—pani, nie tylko dobrą żoną być musisz—lecz i szczęśliwą zarazem. Temu tylko uchronić się jest łatwo od pewnych, choćby malutkich złożeń, kto posiadał świadomość o nich; zobaczyć zaś te plamki, które człowiek mieć musi, może tylko umysł prawy i serce czyste. Tu już są dwa warunki szczęścia; wezwijmy jeszcze silną wolę, niezłomność postanowień—a całość się stworzy.

Zupełnie słuszną jest uwaga pani, że łatwiej być dobrą narzeczoną niż żoną. Te chwile przedślubne, olśniewające nas pewnym urokiem, to zatapianie się serce w nieznanej morzu upojeń przyszłości, zachwyt i czar miłosny—to wszystko, oczy nasze utula różową zasłoną, niedozwalającą dojrzeć cieniów żadnych wśród tych fal światłości, olśniewających wszystkie zmysły nasze. Czytamy piękny poemat, nie zwracając uwagi na błędy utworu. Później dopiero, daleko później budzi się sąd krytyczny. Chodzi nam tu właśnie o tę chwilę, gdy przejdzie pierwszy czar uniesień, gdy duch się obudzi z cudownych widzeń snu.

Więc rozbudzenie nastąpi?

Nie trwóż się, pani!... Przecie chcesz żyć nie marzyć, a choćby z nas nikt nie chciał pozbawić się marzeń sennych, nie do nich, lecz do życia stworzeni jesteśmy. Ale wierz mi pani, że życie dobrze zrozumiane, jest bardzo piękne, że sny wszystkie są niezem przed owym drugim potentatem. Rozkoszna jest woń róż, lecz więcej zdrowia nam daje zapach sosnowych lasów; mile słuch nasz pieści strumyka szmer srebrzysty, lecz piorun przelatujący przez niebo więcej majestatu ma w sobie. Życie to trud i walka — piękno jego w zwycięstwie spoczywa, szczęście w wypełnieniu godnie niełatwych jego zadań.

Dziś—ty pani i twój narzeczony — nie znacie się wcale. Dopiero gdy dłonie wasze zostaną połączone nierozrywana przysięgą—zaczniecie się lepiej poznawać i nowe w sobie odkrywać światy. Po przejściu pierwszych upojeń, dostrzeżecie nawzajem wiele nieznanych całkiem dotąd przymiotów i wad. O pierwszych nie mówię, ostatnie mają pierwszorzędne znaczenie w pożytku małżonków. Ostra krytyka i nieublagany sąd muszą tutaj miejsca ustąpić wzajemnej wyrozumiałości. Teraz dopiero staje się prawdziwymi hodownikami wzajemnego szczęścia. Stworzyć je mężowi, zadanie jest twoje, pani, jego obowiązkiem uszczęśliwić ciebie.

Do bardzo dotkliwych przykrości codziennego życia, należą nie prawie nieznaczające na razie drobności, a które mogą stać się w przyszłości złem ziarnem, trudnego później do wypłnienia chwastu. Małe nadąsanie się ze strony pani, lekkie zniecierpliwienie się ze strony męża, jeżeli od razu przez was nie będą zrozumiane i wytłumaczone, jako objawy danej chwili, danego usposobienia, którego powodem może być nerwowe jakieś podrażnienie lub inna zewnętrzna czy wewnętrzna niezależna od was przyczyna — mogą pociągnąć za sobą nieusadnione wymówki, następnie z razu lekki, później ostrzejszy wyrzut; ty uważasz, że słusność jest przy tobie, mąż przeciwnego jest zdania, rosnące podrażnienie wytwarza upór, wreszcie niechęć, gniew zakończony przez ciebie płaczem, a przez małżonka niegrzecznym drzwiz zatrzaśnięciem.

Ot i coś się przerwało między wami, pękła nitka jedna i sami niespostrzeżenie jak coraz więcej ich przyśnie i złote pasemka przedzi, snute przez was niegdyś, powoli zerwą się wszystkie, serce ból czuje, coś cicho o zawodzie szepce, a szczęście, nie wiedząc dla czego, coraz dalej i dalej odlata.

Nie będę tu śpiewał zwykłej piosenki, że mężczyzna, najczęściej zewnątrz domu obowiązkom oddany, ma więcej powodów do rozdrażniania się—są chwile w życiu kobiety, (o których nie miejsce mi tu mówić) że i ona, bodaj czy nie wię-

cej jeszcze, rozdrażnieniom tym ulegać musi, ale to przewidzieć, zrozumieć rozumny mąż jest obowiązany i utulić w ramionach rozkapryszone dziecko, w żart obrócić, niewłaściwe może czasem słówko z ust nadąsanych wypadłe. W ten sposób, przebacząc wzajemnie urazy, zobaczycie, że nie oddalać się, lecz zbliżać do siebie będziecie i dopełniać się wspólnie. Zrozumiecie się lepiej, będziecie dwiema strunami strojnej arfy grającej śliczną pieśń życia. Miłość wasza pełniejszą się stanie, bo sercu w pomoc rozum przyjdzie. Zakres jej szersze obejmie koło, coś, krom siebie, ukochacie jeszcze, bo inaczej być nie może ani powinno.

Wspomniałem tu tylko o tych drobnych szpileczkach, których ukłucia nieraz od cięcia miecza są gorsze. Ostatnie mogą wywołać od razu rozdział, od razu nawet zabić, ale to jest lepsze, od małego niby, lecz ciągle drażniącego bólu, jak śmierć jest lepsza od konania. Tego, młode panie, wystrzegajcie się jak śmiertelnego grzechu, te szpileczki zatrąły niejedno szczęście.

Nie do ciebie już pani z tą apostrofą się zwracam—ty rozumiałaś doniosłość tych ukłuć, potrafiłaś już raz w chwili rozdrażnienia uśmiech na swoje usta wywołać, potrafisz to uczynić i raz dziesiąty. Nie przedstawiaj tylko sobie życia, jako salę balową ubraną w kwiaty—ono ma kolce, które powinny być stępione, ma winy, które przebaczyć potrzeba — a tego wszystkiego dokonaj Miłość.

??

KOBIETA W STAROŻYTNYM RZYMIE.

przez

Józefę Żdzarską.

II

DZIEWICA.

(Dokończenie).

Żaden jednakże Rzymianin, nie ukazał w tak poetycznych, rzewnych, żywych barwach młodej dziewczicy jak Cyцерon. Już w zniesieniu surowego prawa, niedopuszczającego sieroty do spadku po ojcu, uwidatnia całą gorycz swoją przeciwko tej niesprawiedliwości, całą wielkość swojej miłości dla córki.

Ale w listach dopiero wylewa całą miłość dla ukochanej Tulii, nazywając ją swoją małą Tulią, rozkoszą najwyższą, swoją najukochańszą córeczką, swoim światłem, słodsze niż życie. Obecna mu,—jest jego życiem, radością, spoczynkiem; nad nieobecną boleje, stanowi ona jednakże zawsze jego radę. Jako nieszczęśliwa jest jego najwyższą boleścią. A gdy mu ją śmierć zabrała, stała się jego wiecznym cierpieniem.

Listy te, piękne miłością ojca, pisał przez lat 24 aż do śmierci córki. Cyцерon miał wielkiego przyjaciela, głośnego mówcę i męża stanu Attikusa.

Przyobiecował on raz dziewięcioletniej Tulii jakąś zabawkę. Dziewczynka z dziecięcym uporem prosi ojca, by mu przypomniał daną jej obietnicę.

Poważny mąż stanu, wielki mówca pisze do przyjaciela: „Mała Tulia, nasza rozkosz, żąda od ciebie podarunku.“

Kiedy Cyцерo został konsulem, Tulia miała lat 17. Było to w roku 64 przed Chr. Odtąd zaczyna się niepowodzenia Cyцерona. Tulia jest jego pociechą, dobrym geniuszem. Pomimo cierpień, Cyцерo myśli o przyjemnościach córki, opuszcza Forum, by jej towarzyszyć na igrzyska. Po zwycięstwie swojego przeciwnika Klodyusza, Cyцерon udaje się dobrowolnie na wygnanie. Otrzymując list od córki i syna, zalewa się łzami.

Po 15 miesiącach wygnania pisze z Tessaloniki do brata, najczulej wspominając o córce, nazywa ją swoją wymową, swoją duszą.

I w istocie, dusza Cyцерona, ale z siłą mężką, żyła w jego ukochanej Tulii, tak szlachetnej, tak wysokiej inteligencji, tak wzniosłej i ukształconej.

Kiedy po dwóch blisko latach wygnania powrócił do Italii, najpierwsza Tulia go powitała.

Na jej prośbę zaniechał nowej walki z Klaudiuszem, za jej radą, nie poszedł za zwyciężkim Cezarem, ale za pobitym Pompeuszem, trzymając się szlachetnie raz obranej drogi.

Tulia była wówczas żoną Dolabelli, nieszczęśliwą w pożytku z mężem.

Cyцерo, dowiedziawszy się o słabym stanie zdrowia córki, pisze do Attikusa: „Jej choroba jest moją śmiercią.“

We dwa lata później utracił ukochane dziecko.

Po tej stracie wielką jego boleść, zabija w nim obojętność. Późne są pociechy Brutusa, Sulpijusza i Attikusa: opuszcza dom i Forum, bo ni jeden ni drugie pocieszyć go nie mogą. — Prawa nie pozwalały stawiać wspańiałych pomników umarłym, więc zboląły ojciec wystawił córce ukochanej świątynię.

Lekkie odbicie obrazu drogiej swej Tulii ujrzał w ślicznym, cudownym dziecku, córce Attikusa, Attyce. Daje jej słodkie imiona, jakie dawał córce własnej.

Cyцерo jest ideałem ojca dobrego, pełnego serca.

Wielu z Rzymian opłakiwało śmierć córek, napisy na ich grobach świadczą o ich miłości. Sam Juvenalis mawiał: „Jeżeli syn jest mi drogim, córka słodsza jest dla mego sera.“ Zasługiwały też na tę miłość, jeżeli rodzice nazywali je świętymi i słodkimi.

Dwie zacne córki: Polucya i Serwilia z narażeniem życia poświęciły się dla ojców.

Za panowania Witeliusza, Julius Alpinus poburzył Helwetów i był za to na śmierć skazany, przez Cecinę. Córka, nie zdoławszy go ocalić, pragnie z nim umrzeć. Wkrótce poszła za ukochanym ojcem, jak to zaświadczył napis na jej nagrobku. „Ja Julia Alpinula, kapłanka bogini Awentyny, spoczywam tu, nieszczęśliwa odrośl ojca nieszczęśliwego.“ Nie mogłam memi łzami wyblagać życia memu ojcu, więc też zginął marcie. Żyłam lat 23.“

Poeta Martialis, który często kalał błotem skrzydła swej muzy, opiewał świętymi słowy śmierć ukochanego mu dziecka, córeczki swojej niewolnicy. Prawie po chrześcijańsku kończy swój malutchny poemacik:

„Niechaj miękka trawka pokrywa jej ciało. Ziemi, bądź jej lekką, bo ona nie ciężyla tobie.“

Cudownymi farby, przesiąkniętymi gorącym uczuciem, maluje swoją Erocyę.

Na jej pomniku napisał te słowa: „Zgasła w srobiej ziemi. Ktokolwiek stanie się spadkobiercą tego pola, niech złoży ofiarę tym maluchnym cieniom, bo tym sposobem ocali swój dom od cierpień, a kamień ten zroszony łzami, będzie jedynym, jaki ujrzy w swym życiu.“

Chociaż Rzymianie zabraniali przez prawo wystawnych pogrzebów, jednakże dziewczom można było wyprawiać jak najwspanialsze. Więc też Fundanus, ojciec młodej narzeczonej, przeznaczył na jej pogrzeb perły, drogie kamienie, bogate suknie, jakie jej dawał w posagu.

Wszystkie te dziewczęta, o ile zauważyć możemy, odznaczała skromność, miła prostota; a chociaż nie pozbawione były one pewnej nauki szkolnej, żadna jednakże z nich nie mogła się zaliczyć do rzędu średnio nawet uczonych.

W miarę jednakże postępu cywilizacji dziewczęta rzymska otrzymuje wychowanie intelektualne i artystyczne.

W domach arystokratycznych, pedagogowie, nauczyciele zajmowali się nauką dziewcząt.

Rzymianie pozwolili córkom korzystać z nauk, jakie otrzymali od Greków, więc też kobiety nie tylko przedły wełnę, pilnowały ogniska domowego, ale czytały filozofów, poetów, grały na lirze, jak słodka Tulia, córka ukochana Cyцерona.

O niej-to Pliniusz młodszy tak się wyraża: „Nie znam weselszej, miłszej nad Tulię dziewicy, godniejszej nie tylko żyć długo, ale nieśmiertelnie. W latach ledwo czternastu miała już roztropność starości, powagę matrony a słodycz ze skromnością dziewicy. Z jakąż czułością i uprzejmością ugaszczala przyjaciół ojca! Kochała tkliwie swoją mamkę, niewolnice, nauczycieli i pedagogów. Z jaką pilnością i zrozumieniem czytała! Była wiernym obrazem ojca.“

Poezya szczególnie nęciła Rzymianki, tym językiem przemawiały do Bogów, modląc się za rodaków.

Liwinus Andronikus i inni byli, można powiedzieć śpiewakami i nauczycielami tak chłopców jak dziewcząt. Tworzyli dla nich hymny ułożone w chóry.

Pięknym szczególnie był hymn napisany przez Horacego na igrzyska przywrócone przez Augusta, w czasie których modlono się za państwo. Dziewięć dziewcząt i tyluż chłopców w świątyni Apollina Palatyńskiego śpiewało hymny łacińskie i greckie.

Świątynia ta, cała z marmuru białego, wznosiła się w całej swojej piękności na końcu jednego z atrium, którego portyki również z marmuru różowego i żółtego, ozdobione statuami z brązu, przedstawiały Danaidy i ich zdobywców na igrzyskach.

Wśród takiego poetycznego otoczenia śpiew hymnów młodzieży rozlegał się uroczyście.

Najpiękniejszy z nich, jak się już nadmienilo, wyśpiewał Horacy w swoim *Carmen saeculare*.

„Słońce ożywiające naturę, ty, którego wóz „światny otwiera i zamyka dzień, ty, które wstajesz codziennie jednakowo niezmiennie—obyś nigdy nie widziało nic nad Rzym wspanialszego.“

Młode dziewice i chłopcy błagają bogów, by dali dobre obyczaje posłusznej młodzie, starości wypoczynek słodki, ludowi rzymskiemu panowanie trwałe, chwałę, potęgę i szczęście. Proszą nadto, by wysłuchali prośb dzieci.

Katullus również napisał prześliczny hymn dla chorów chłopców i dziewcząt, w którym śpiewacy błagają Dyana, aby wysłuchała prośb czystych chłopców i niewinnych dziewcząt, dała obfite zbiory rolnikowi i opiekowała się starym Ludem Rzymskim.

Śpiewy te wpajały zawczasu w dusze młode miłość ziemi rodzinnej.

Ale ziemię tę ukochaną, dzieci Romy kochały po ziemsku, dla niej samej, jej wspomnień, nadziei, heroizmu jej bohaterów, jej urodzajności, śpiewając:

„Pozdrawiamy cię, matko zbiorów, ziemio urodzajów, ziemio Saturna, wielka matko wojowników.“

Poezya ta jednakże później wpajała zepsucie, wypływające szczególnie z natchnień Propereyusza, Owidyusza.

W portykach, w teatrze brzmiały te pieśni, w których poeta nie oszczędza ni świętości ogniska domowego, ni powagi Olimpu. Niektóre uroczystości religijne tracą swoją pierwotną cechę powagi i pobożności, mieszkania ozdabiają się malowidłami obrażającymi skromność.

Większość synów i cór starego Rzymu upada. Nim jednakże, choć pobieżnie, przebiegniemy tę smutną epokę, powiedzmy pożegnalne słówko czyściej dziewicy kapłance ogniska domowego.

Była ona za królestwa i początków istnienia Rzeczypospolitej niewinną kapłanką, strażniczką ogniska domowego w Atryum. Tu ona przepędzała dziecięce i młodzieńcze lata, zajęta pracą domową, otoczona szacunkiem, czcią ogółu, najtkliwszą miłością ojca i matki. Ale nie tylko rodzice — naród cały uwielbiał w niej niewinność wiecloną, bronił jej sławy, mścił jej krzywdy zadane, czego dowodem czysta Wirginia.

Rzymianin nie broni córce nauki, jak Grek, daje jej pewne ukształcenie umysłowe, religijne i moralne. Dziewica składa z ojcem ofiary bogom, ukazuje się na processjach na cześć bogów ustanowionych. Nie braknie jej przyjemności: przypatruje się igrzyskom, obcuje z naturą i jak wiosenny kwiatek rozwija się swobodnie pod jasnym błękitem nieba swej pięknej ojczyzny.

Zepsucie nawet obyczajów najmniej na nią wpływa w najsmutniejszych czasach dla Rzeczypospolitej i długi czas zostaje Rzymianką w atryum przy ognisku domowym.

PIERWSZY WYSTĘP

NOWELLA

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Cóżto za książkę panicz niesie?—pierwsza odezwiała się dziewczyna.

— A czy Jagusia umie czytać?

— O i jak?! Przeszłam trzy elementarze i z każdej ci książki czytam.

— Czytaj z mojej.

— Wstydzę się — niech panicz sam czyta. Okrutniem ciekawa.

Józio roztworzył książkę i czytać zaczął, deklamując z zapalem.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, umieram z miłości.

— Ślicznie, — szepnęło dziewczę — i po naszymu i panicz czyta jak *profesur*; ale coż kiej trudno się połapać! w takiej mowie nie jestem uczona.

— Bój się Boga, Jaguś, uważajże, — zawołał Józio i powoli oddeklamował po raz drugi.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, umieram z tęsknoty.

— Zniknęła jak sen — rozumiesz?

Jagusia przysunęła się tak blisko, że uczył go rący jej oddech na swej twarzy.

„Umieram z żalu, usycham z tęsknoty...“

— Czy wiesz, że można umrzeć z żalu i tęsknoty.

— Wiem — odpowiedziała cicho.

— Jakże to?

— Onie się i wciąż ciągiem enie, tęsknica, jak zmora, siada na sercu i człek gaśnie, gaśnie, póki nie zagaśnie.

Włosy dziewczyny muskały twarz chłopca. Błady ze wzruszenia, nachylił usta, ona przysunęła swoje czerwone, świeże, drgające życia młodością.

Pocałowali się.

— Jaguś! i ja z tęsknicy za tobą zgasnę.

I znowu wyciągnął szyję i usta do pocałunku ułożył, dziewczę przysunęło swoje. Objął ją wpół, trzymał i pił słodycz, póki ona pierwsza nie szepnęła:

— Dosyć.

Wysunęła się z jego objęć i usiadła zmęczona, o bijących pulsach na skroniach.

— Nie mogę, boję się, aby mnie krew nie zalała. Już nie chcę, paniezu — odsunęła się.

Chłopiec nie mógł mówić ze wzruszenia.

Pierwszy raz w życiu całował młodą ładną dziewczynę.

— Ta książka ma w sobie czary. Niech ją panicz spali.

— A właśnie ja chcę, żeby cię ciągle czarowała.

— Panicza nie?

— Mnie nie, bo ja już jestem zezarowany.

— Spalić ją, to czary znikną.

— Nie chcę, żeby czary znikły. Kiedyście mnie obie, książka i ty, zezarowali, to trzymajcie.

Jaguś się zaśmiała wesoło.

— Jak ino panicz wróci do Krakowa, to migiem i czary odleca — mówiła, wpatrując się w chłopca z kokieterią.

— Nie chcę, żeby czary odlatywały odemnie — protestował energicznie Józio.

Dziewczyna łuskała ze skorup jaja i podawała chłopcu. Zjadał je do połowy, resztę kładąc w usta Jagusi.

Ten rodzaj karmienia podobał jej się: otwierała usta, usiłując zębami pochwycić palce chłopca. Usuwał je szybko.

Żartowali oboje, wybuchając śmiechem dziecięcej radości.

Uczta skończona. Matusi tylko co nie widać. Jagusia wyjrzała przez okno, wybiegła na drogę spojrziała na wały Wisły.

Józio czuł, że należało myśleć o odwrocie, lecz nie miał ochoty. Wpatrywał się w dziewczynę oczami maturzysty i tonął w niej wzrokiem.

— Paniezu — szepnęła, biorąc motykę do ręki. — Na mnie *wielgi* już czas. Tatusi się sami markocą, muszę wracać do roboty.

— Będzie ci się enęło za mną? — zapytał.

— Może i będzie — odpowiedziała zalotnie.

— A chcesz, żebym wrócił?

— Może i chcę — szepnęła, odwracając się.

— Kiedyż przyjść?

— Ma sia co tydzień w tym dniu w Podgórzu, na targu.

Zapłacił za uczę, obiecując Jagusi przynieść gościniec z miasta. Dziewczyna, z motyką na ramieniu, odprowadziła go na drogę. Pożegnali się gorącymi spojrzzeniami.

Maturzysta wracał do Krakowa. Idąc rozpalał się i przyspieszał kroku. Rozbudzona pocałunkami fantazyja biegła przed nim, gonili ją, lecz napróżno.

— Jak ona — szeptał — świetnie określiła śmierć z tęsknoty...

Będę ją uczył, kształcił, całował i ożenie się!

Podniósł w górę łaskę, rozmachiwał nią, przyspieszał kroku, że aż mu tehu w piersiach brakło... Rozbujalej fantazyji akompaniowały łagodne rzeki, wiatr chłodził mu twarz i jednocześnie palił krew pod skórą.

— Gdy będę opowiadał o mym romansie kolegom, gotowi mi nie uwierzyć. Albo gotowi wszyscy polecieć do Jagusi... Tobo dopiero była awantura!

— Nie pisnę ani słowa, nie zdradzę się mrugnięciem oczu. O, nie głupim! Jagusia jest moją i będzie moją! Przysięgam na piekło!

Spotkał parę koni i wózek pędzący drogą. Zatrzymał fornala.

— Gdzie jedziecie? — zapytał.

— Do Krakowa, po panicza.

— Zabierzcie mnie; napijemy się piwa w Krakowie.

Wskoczył na wózek, siadł przy zgrabnym chłopaku poprosił go o lejce i bat.

— Musisz mnie nauczyć powozić.

— Z ochotą, niech ino panicz uważa, a pójdzie łatwo.

Rozmowa potoczyła się w kierunku powożenia.

— Długo trzeba się uczyć gospodarstwa? — zapytał Józio.

— Abo się to kto uczy? Samo bez się z ojca na syna przechodzi.

— Ty umiesz?

— Bylebym ino miał na czym! — zawołał wesoło.

— Nie masz?

— Dwa zagony.

— A ja nie mam i zagona! — pomyślał Józio.

Smutek go opanował. Wjechali w miasto.

— Co Jagusia robić będzie w mieście? Z tęskni się za wsią, rolą, gospodarstwem. W miarę jak go obejmował ruch miasta, gał zapał do ożenku.

Na Stradomiu wypił z fornalem po szklance piwa, pożegnał się i gorączkowo pobiegł do domu, do matki i siostry, ściskając w rękę książkę.

Wrażenia, zagłuszone pocałunkami młodej dziewczyny, wracały. „Mazepa“ wydobywał się z poza wspomnień, opanowując umysł i wyobraźnię młodzieńca.

W domu czekano już na niego. Ojciec, rozpromieniony, opowiadał, że vice-prezydent miasta winował mu odznaczenia syna. Na stole leżał

dziennik, w którym pierwszy raz nazwisko Józia było wydrukowane. Chłopiec rzucił okiem na dziennik, przeczytał i nie zajmował się więcej tą kwestyą. Zdawało mu się, że od zdania matury upłynął cały wiek. Młodość szybko się oswaja z nowymi pozycjami i zwykle przebiega czas.

O godzinie szóstej pobiegł do teatru. Afisz zdaleka czerwieniał się „*Otellem*“... Szekspir! — czarodziejski wyraz dla dziewiętnastu lat i nazajutrz po zdaniu egzaminów.

Gromadka, przeważnie złożona z młodzieży, stała na schodach przed drzwiami teatru. Rozprawiano o przedstawieniu, przyglądano się przechodzącym za kulisy aktorkom, oczekując na pojawienie się aktora występującego gościnnie w *Otelu*.

— Idzie, idzie.

Zrobił się szmer. Oczy wszystkich zwróciły się w jedną stronę, patrzano ciekawie, tłocząc się i jednocześnie robiąc miejsce dla przejścia zbliżającemu się szybko artyście.

Rozprawiano o nim głośno: o jego postawie, chodzie, spojrzeniu, układzie, gdy w tem na schodkach ukazał się sekretarz teatralny.

Patrzac w gromadkę badawczo, zbliżył się do Józia.

— Może pan zechce pomódz nam w dzisiejszem przedstawieniu?

Chłopcu zabiło silnie serce.

— Ja pomódz? — szepnął.

— Niezawodnie. Nie mamy odpowiedniej figury na murzynka noszącego pochodnię przed *Otellem*. Jeśli pan ma ochotę?!

— Z rozkoszą, odpowiedział, rumieniąc się z radości.

— A więc, proszę za mną.

Rozwarły się tajemniczo drzwi i z trzaskiem zamknęły.

Naprzód szedł sekretarz, za nim zdziwiony, na pół nieprzytomny ze wzruszenia, Józio.

Minęli wielką sień, przechodząc obok gromadki rycerzy w zbrojach z halabardami.

Ważkie schodki prowadziły do wielkiej sali, przeznaczonej na garderobę dla artystów.

Na środku stał czarny *Otello* w białym zawoju, złotej tunice i białym płaszczu. Patrzył groźnie, lecz równocześnie uśmiechał się łaskawie. Cassio opierał się o nagi miecz, gdy Jago kończył malowanie swej twarzy.

Józio uważał aktorów za półbogów; obecność ich, towarzystwo onieśmieliło go jeszcze więcej. Zarumieniony, zawstydzony, nie śmiał podnieść oczu; szczęściem dla niego aktorzy nie zwracali na niego uwagi.

Sekretarz zbliżył się do aktora, który nie był przebrany.

— Panie Feliksiewicz — odezwał się, — ponieważ pan najlepiej charakteryzujesz, proszę o wielką łaskę, zajmij się tym młodym paniczem i zrób z niego ładnego murzynka, w drugim akcie będzie niósł przed *Otellem* pochodnię.

Feliksiewicz, na znak zgody, skłonił głowę i łaskawie podał rękę młodzieńcowi.

Sekretarz dokończył:

— Kostyum przyśle.

Potem, zwracając się do Józia:

— Nie chciałem pana mieszać z hołotą statystów. Do widzenia.

Odszedł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JULIUSZ SŁOWACKI W EGIPCIE.

(27 Września 1836 — 2 Stycznia 1837)

przez

Ferdynanda Hösicka.

(Dalszy ciąg).

Niemniejszy zachwyt budziły w nim również i dziewczęta egipskie: najlepszy dowód, że ich

nie przepomniął w swym poetycznym liście do Teofila Januszewskiego:

Tu, pilnująca głową równowagi dzbanka, Wypreżona przy murach staje Egipcjanka, Podobna karyatydzie, w ścianę wmurowanej. Jej koszula, posłuszna piersi z brązu lanej, Nad łonem się podnosi i na dół opada, O każdy kształt jak wodna łamiąc się kaskada.

Wogóle pierwsze wrażenie, odniesione przez poetę z miasta i życia wschodniego, wypadło pod każdym względem korzystnie. Wszystko mu się tu podobało, poczynawszy od owego różnojęzycznego gwaru na ulicach, „gliną i rogożą sklepionych“, od owych „świecących sklepików“ na bazarze, a kończąc na wielbłądach, owych „wschodnich ubogich krajów wozowodach“ a zarazem okretach pustyni, z których każdy jako struszył wygląda.

Skrzydła ma z worków, a gdy przed gospodę Przyjdzie i stanie, to skórzane boki Leją fontanny dwie i dwa rynsztoki.

Pierwszy dzień upłynął mu cały na zwiedzaniu starej, arabskiej, i nowej, europejskiej, dzielnic miasta; wieczorem zaś, kiedy na niebo wytoczył się księżyc w pełni, przeobraziła się Alexandya odrazu — dla Słowackiego przynajmniej — w jakieś fantastyczne widzenie z baśni Tysiąca i jednej nocy. Prostu, nie spodziewał się znaleźć tu takich cudów.

Poeta patrząc na te kopuły meczetów, na te wysmukłe stożki minaretów, na te bramy arabskiej architektury, na te wystające okna (pomiedzy którymi były może i okna haremów?) zasłonięte drewnianem kratowaniem: bardzo misternem niekiedy, na te białe, wapnem malowane, domy bez dachów: wzrok jego, zmęczony w ciągu dnia oślepiającym blaskiem słonecznym, nietylko wypoczywał teraz, ale i napawał się poezją takiego widoku; wszystko bowiem, w seledynowym świetle miesięcznem skąpane, miało w sobie coś rozmarzającego, nastrojającego niezwykle, poetycznie. Całe miasto było „w światłach roju“, jakby uilluminowane; nad drzwiami bazarów i sklepów, w sklepianach bram, na krążgankach minaretów, w oknach domów, przed każdą sienią, — wszędzie, jak okiem sięgnąć, wisiały „różne z tureckiego łożu ramazanowe lampy“, które mieniąc się swymi różnokolorowymi szybkami, wyglądały „jak wieńce z kwiatów na szafiru łące.“

Bo minarety, co je w niebo niosły

Tak były lekkie, jakby owe kwiaty,

Bez żadnych łądyg i pni, same rosły

Albo latały; a tak był bogaty

Niemni horyzont, że oczy nie zniosły

I odwracały się na bledsze światy:

Na morze, co swój włos jak serca welni

I srebrnym błyska; lub na księżyc w pełni.

Czasem piękniejszy tem, że stał na stronie

Minaret, jakby jaki anioł smętny,

Stał w swej ognistej z różnych gwiazd koronie,

Tem miłszy oczom, że nie był natrętny...

Powróciwszy do hotelu, choć „znużony temi arabskimi gwary“, Słowacki czuł się egzotyčnością tej nocy wschodniej — tym razem prawdziwej — tak dalece podniecony, że, zamiast pójść w ślady swego towarzysza i udać się na spoczynek, zasiadł do pisania i napisał list „do Teofila Januszewskiego“, list wierszem, w którym, patrząc przez otwarte okno „na port stary Wielkiego Alexandra“ opisał, co dziś, widział i słyszał na wstępie, „a dodać należy w nawiasie, że opisał to wszystko po mistrzowsku, z plastyką, równą plastyce opisów w „Panu Tadeuszu.“

Nazajutrz, stosownie do wyrażonej w liście tym zapowiedzi, że:

Jutro ujrzą pomniki, trumny, katakomby, Wszystko, co pozostało na tym piasku z wieków Od Egipcjan przez Rzymian pobitych i Greków,

pojechali z Brzozowskim na osiołkach do słynnych aleksandryjskich katakumb¹⁾; poczem zwiedzili kolumnę Pompejusza, jeden z największych monolitów w świecie, jedną z 400 kolumn, które podpierały niegdyś stołę (portyk) słynnej biblioteki Aleksandryjskiej, spalonej na rozkaz Omara.

Po kilku dniach pobytu w Alexandryi, skoro zwiedzili wszystko, co posiadała godnego widzenia, a co Słowacki opisał matce w obszernym liście (który jej, niestety, nie doszedł) puszczono się łódką do Kairu, dokąd bez żadnych przystanków szczególnych podróżnicy nasi przybyto dnia 28 Października. Zabawiono tu przeszło tydzień. Kair starożytna, siedziba sułtanów egipskich, a dziś, po Konstantynopolu, największe miasto na Wschodzie, jest jako takie, bardziej jeszcze, aniżeli Alexandrya, typowem; nie dziw więc, że Słowackiego poprostu odurzył swoją atmosferą, jak haszyszem²⁾. W swoich *Listach z Afryki* Henryk Sienkiewicz taki kreśli obraz ulic Kairu. „Na bocznych chodnikach przepychają się Arabowie, Beduii, Żydzi, Koptowie, Murzyni, Grecy i Anglicy; środkiem ciągną szeregi wielbłądów, wozy zaprzężone w bawoły i pojazdy paszów, z biegnącymi przed końmi saisami. Widzisz wszystkie barwy skóry i słyszysz wszystkie języki. Ruch i gwar taki, że w głowie się kręci. Pod akacyami przydrożnymi i pod palmami całe obozowiska; gromady kramów, barwne tkaniny, zawoje, stopy bakalii, pęki trzein cukrowych, znów wielbłądy, znów stada osłów. Między nimi wrzaskliwy tłum przewodników: cały obraz w rażącym blasku lub czarnych cieniach, bez ogólnego tonu, o barwach lokalnych...“

Za czasów Słowackiego było tak samo. Świadczy o tem część druga Beniowskiego, w którym życie na Wschodzie odbiło się tak poetycznie, a tak realnie zarazem, że aż nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiego realizmu u Słowackiego. Lubimy posadzać go przytem często o zbytek fantastyczności, kiedy on tymczasem, choć posiadał fantazję, jakiej nie miał np. Mickiewicz, potrafił być, ile razy chciał, równie dobrym, jak twórca „Pana Tadeusza“ realistą w poezyi. Dowodem tego, chociażby owe opisy Wschodu, najrealniejsze, a przytem, bez zaprzeczenia, najpoetyczniejsze, jakie skreślono kiedykolwiek. Na porównaniu z niemi tracą, nietylko słynne *les Orientales* Wiktora Hugo, ale i różne *orientales* Byrona, Moore'a i innych... Oto naprzykład opis tańca wschodnich almei. Niech mi kto wskaże piękniejszy...

....Na wszystkich twarzach była wielka radość:

Światł tysiące, woń drogich korzeni,

I wszystkim ludzkim zmysłom było zadość;

Almeje także — te córki płomieni.

W szat przezroczystych osłonięta błądź

Tańczą przy fontann lazurów chłodzie —

Blizko, a drugie daleko w ogrodzie.

Zda się, że ciągle się roją i rodzą

Z krzewów, z jaśminów, z róż, i znowu nowe

Przez rozwidnione aleje przechodzą,

Lecąc przez słońca różnokolorowe;

W tych słońcach giną smętne, a tych się płodzą,

I szybkim tańcem zwracają głowę;

Królowa tańca, młodzieńca dziewczyna,

Płec miała żółto-ciemną, jak cytryna,

Włosy jak węgiel czarne, to Indyanka!

Oczy jak dwoje czarnej kawy ziarek,

Na głowie, naksztalt kręconego wianka,

Koronę z chińskich jajek i latarek...

¹⁾ O pobycie swym w Alexandryi zanotował Słowacki we wspomnianym już raptularzu co następuje: „Alexandria. Plac przy księżycu. Egipcjanki z czarami na głowach — żebracy w czarnym (?) — belwedery. Na osłach kobiety. Wielbłądy z wodą, podobne do strusiów, leżących rosę skrzydłami. Bientz. Szwajcaria. Zmiana duszy w suchotniku. Osiołki. Podróż do Katakomb. Trumna. Obelisk. Ogród palmowy. List do matki. Muzyka arabska...“

²⁾ Dnia 28 Października przybyłem łódką do Kairu: pyszne miasto. Piramidy zdaleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach (Listy I, 254).

Muzyka także grała; muzykanci

Na różnokwiatnej siedzieli rogoży
U drzwi, i grali okropne drabanty,

Zachowując się z taktem jaknajgorzej....

Pomiedzy nimi siedział muzyk dworu

Który w urzędzie był... turbator choru.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZŁOTE OGNIWA

POWIEŚĆ

Wiktora Gomulickiego.

(Dokończenie).

Na powitanie wchodzącego podniosła się Stecka; śpieszą też doń druchny i druźbowie parami: Wacława z Justynem, Lunia z Zygmuntem. Ksiądz wita ich tym odrębnym, domyślnym i zachęcającym uśmiechem, jakiego kapłani używają w pewnych tylko, uroczystościach okolicznościach.

Jednocześnie znika z bawialni pani Piórkowa. Ale nieobecność jej nie trwa długo. Po kilku minutach zjawia się z powrotem — nie sama już jednak.

Silny zapach róż, który wraz z wejściem jej napełnił komnatę, każe domyślać się kosa kwiatów lub przynajmniej wielkiego bukietu. Ale w rzeczywistości niema tam nic takiego. To tylko pachną włosy Franusia, srodze na dzisiejszą urość pomadą różaną wytłuszczone.

Chłopczyzna od stóp do głowy ubrany jest odświętnie, a twarz ma wymytą i różową jak rzodkiewka. Czerwienią mu się policzki, czerwienią uszy, czerwieni koniec nosa i brody okragłej połowa. Gdyby nie wyzieraający z szarych oczu wyraz ponurego zawstydzienia, dzieciom bezimiennym właściwy, można-by sądzić, że to członek rodziny.

Franiuś, popychany zlekka przez gospodynię, niesie dużą, srebrną tacę, a na tacy: cztery małe pierścionki z brylantami.

I zaraz też zagadka oczekiwania wyjaśnia się. Pary drużebne mają stać się za chwilę — parami narzeczonych.

Ksiądz dopełnia szybko ceremonii. Pierścionki drużbów przechodzą na palce druchen, i odwrotnie. Widok ten wzrusza na nowo uspokojone już nieco nerwy gospodyni: „z domu Dudzińska“ opiera się na ramieniu małżonka i płaczem głośnym wybucha.

Przykład okazał się zaraźliwym. Steckiej, błogosławiącej młode pary, przerywa mowę łkanie; pannom poczynają szybko falować piersi i drgać powieki; towarzysze ich trzymają ręce przy wąsach, aby minę płaczliwą zamaskować. Wykrzywił się nawet pan Piórko, co go czyni podobnym do konserwy z pomidora.

Ale oto obrzęd skończony, lzy otarto — pojawiają się uśmiechy, niby blaski słoneczne po deszczu. Kobiety sadowią księdza na najmniejszym fotelu, częstują winem i najprzedniejszymi ciastami, proszą, by na wieczery został.

Ksiądz grzecznie odmawia. Nie należy do siebie ale do parafian swoich. Lada chwila zażądać ktoś może od pasterza swego posługi religijnej — do łóża boleści go przywołać. Weselnikom wolno o tem zapominać, ale kapłan zawsze w pamięci mieć musi, że są trzy etapy życia, na których obecność jego jest konieczna: narodziny, ślub, śmierć...

Wzmianka o śmierci lekkim chłodem przejmie obecnych. Spoznacza to ksiądz, i uśmiech światowy na usta przywoławszy, mówi wesoło:

— Co się odwlecze, nie uciecze. Na weselu, da Pan Bóg doczekać, będę z wami, moje dzieci, bawił się choćby do samej północy.

Lunia zagląda mu w oczy filuternie.

— A zatańczy ze mną ksiądz proboszcz „przeprzeckę“ — pyta — jak to było kiedyś, przed pierwszą moją komunią?

— Panno Luniu! jak można! — strofuje ją przeżona Piórkowa. — Alboż osoby duchowne tańczą?...

Ksiądz, nie pozbywając się okolicznościowego uśmiechu, żegna wszystkich, eks-gospodyni daje rękę do pocałowania i wychodzi.

Zapanowywa teraz nastrój mniej solenny a za to swobodniejszy i tkliwszy.

Przedewszystkiem, na wniosek Luni, katusze pana Piórki zostają skrócone. Towarzystwo, przez usta swego pełnomocnika Justyna, nakazuje, aby „bestya frak“ został zdjęty i zastąpiony wygodniejszym „przyodziewkiem“. Zarazem, ze względu na okoliczności łagodzące, dozwala się winowajcy wypalić na osobności jedną — ale tylko jedną, — fajkę mniejszego kalibru.

Pan Piórko wychodzi uradowany, a pani Piórkowa nie zaniedbuje pierwszego rozstania małżeńskiego oblać łez gorących potokiem.

Dla płaczącej, szczęśliwą dywersją stają się przygotowania do wieczery — do których, mimo oporu Steckiej, z energią się zabiera.

W bawialni, panny pozostały same — pod opieką narzeczonych.

W jednym rogu przestronnej komnaty, na fotelu matczynym siedzi Wacława: na krześle obok niej Justyn.

Rozmowa tej pary wygląda na egzamin. Egzaminującą jest panna, egzaminowanym kawaler.

Justyn zdaje sprawę z dzieł, przestudyowanych w ciągu jesieni i zimy; mówi o doświadczeniach jakie dokonywał w polu i w pokoju; wyleczy się skrupulatnie z sumy pożyczonej, która wejść ma teraz w skład posagu...

Wacława robi uwagi, jedno pochwała, drugie krytykuje, trzecie milczeniem zbywa nieśmiało — wszystko to zaś czyni z miłością i pokorą dziwną, jakiej przedtem nikt w niej nie widywał.

Potem mówią o ojcu Justyna. Starzec, oporny początkowo, roztajał pod wpływem listów serdecznych, jakie pisywała doń Wacława. Silny reumatyzm nie pozwolił mu zimą przybyć na zaręczyny; poprzestał na przysłaniu synowej krótkiego listu tej treści:

„Skoro Justyn kocha ciebie, moja panno, a ty twierdzisz, że nienawistną mu nie jesteś, to chociaż prababki twoje miały być głupie, przez prawo poniewierane a przez mężczyzn trzymane w niewoli — błogosławie was, moje dzieci z całego serca i ze wszystkich sił swoich. *Fiat voluntas tua, Domine*“.

Wacława, głosem miękim, pozbawionym zupełnie dawnej surowości, rozwija przed narzeczonym swoje plany. Na pierwszym miejscu postawiła w nich: nietykalność przekonania i nawyków starego Bronisza. Po ślubie, nie w trybie życia Borek nie będzie zmienione. W rękach ojca pozostanie i nadal ster gospodarstwa — niezbędne zaś przekształcenia i melioracje wprowadzane będą nieznacznie, i. o ile można, w tajemnicy. Nie ulega zresztą wątpliwości, że starzec, mając tytuł głównego kierownika, na tytule tym po przestanie.

— Jakaś ty roztropna! jak ty wszystko zawczasu doskonale ułożyłaś! — mówi Justyn, wpatrując się w narzeczoną z uwielbieniem. Niech mię piorun spali jeżeli widziałem w życiu istotę tak dobrą jak ty!

Ona oczy spuszcza ze skrucłą szczerą.

— Ja dobrą nie byłam — wyznaje przyciszo- nym głosem. Tyś dopiero, Justynie, dobrą mię uczynił...

W drugim końcu bawialni, na brzeźku miękiego taburetu, przysiadła Lunia. Tuż przy niej stoi Zygmunt o fortepian wsparty.

Cała postać dziewczęcia technie urokiem bujnej, świeżo rozkwitłej młodości. A jak na zaróżowio- nem od wschodzącego słońca niebie srebrzy się jeszcze gdzieśgdzie księżycowa poświata, tak i z jej twarzy nie ustąpiło jeszcze całkowicie płochę rozswawolone dzieciństwo. Drobną fałd- ka na czole zdradza myśl poważną, kobieca, głę- boka czułość przenika ledwie rozbudzone serce, ale w kąciach ust kryje się uśmieszek chochliko-

wy, powstrzymywany, od którego nad białą skro- nią drzeć się zdają jasne, jak pela miękie, kędziorki...

Z podniesioną głową i przymkniętymi do poło- wy oczami, Lunia mówi:

— Pokój stołowy od podwórza... Salonik od ulicy... W stołowym papier ciemny, gżems z dę- bu... W saloniku papier perłowy, gżems...

Zatrzymuje się i spogląda na milczącego towa- rzysza.

— Czy pan się zgadza?

— Pan zgadza się na wszystko, co postanowi- pani.

— A czy pan wie na co obrócimy pokój nie- bieski?

— Na buduar pani.

— Nie — na gabinet pana.

— Dla czego?

— Bo to kącik najwygodniejszy i najcichszy.

— Więc z prawa pani się należy.

— Ja wygod nie potrzebuję, a ciszy — nie lubię.

W małym pckoiku obok stołowego pomieścimy się doskonale oboje z Franusiem. Bo przecie nie zechce pan rozłączać mnie z Franusiem?...

— Ani przez chwilę o tem nie myślałem.

— Ach, jak to dobrze! Franiuś będzie naszym synkiem...

— Tymczasem.

Panienka otwiera szeroko swe wielkie, jak nie- bo czyste, oczy.

— Jaktó tymczasem? — zapytuje pełnym zadzi- wienia głosem.

— No, dopóki... to jest... zresztą o tem potem...

Lunia wraca do rojeń.

— Pan musi mieć przy pracy spokojność, panu potrzebne są wrażenia miłe, przyjemne. Dlatego właśnie wybrałam dla pana pokój sło- neczny, z oknem dużym, przez które widać wiel- ką przestrzeń nieba. Co do reszty, to tak się urządzimy z Franusiem i służącą, aby pan nas nigdy nie słyszał, widział zaś tylko wówczas gdy — zechce...

— Dla czego pani nie myśli raczej o sobie, o swojej wygodzie, o swoich przyjemnościach?

Panienka spogląda mu w oczy wzrokiem peł- nym szczerą prostoty.

— Ależ kiedy moją największą przyjemnością jest właśnie: myśleć o przyjemnościach pana! Przytem, mam ja także i swoje wyrachowanie...

— Jakie?

— Chciała-bym... żeby pan odtąd pisywał w in- nym duchu, niż dawniej.

— A czy pani wie w jakim duchu dawniej pi- sywałem?

Lunię pytanie to zakłopotalo. Oczy spuszcza i przez chwilę nie wie co mówić. Zdobywa się wreszcie na odwagę i odpowiada krótko:

— Wiem.

Ale Zygmunt nie zadawałniasię tą odpowie- dzia.

— Zkąd pani wie? — dalej bada.

— Czytałam — mówi Lunia, nie patrząc na nie- go. — Brałam od Waci pokrywom dzienniki z arty- kułami pana i — czytałam. Czytałam od deski do deski — choć nie wszystko było dla mnie zrozu- miałe. Z tych właśnie artykułów dowiedziałam się — raczej może przeczułam — że... że...

Zakłopotanie jej wzrasta — nie ma śmiałości do- kończyć.

— Że co? — dopytuje wzruszony Zygmunt.

— Że pan jest... nieszczęśliwy — szepcze w za- lęknieniu Lunia.

— Zkąd pani to wniosła?

— Alboż ludzie szczęśliwi miewają takie myśli jak „Sfinks“? Wszystko tam gorzkie, smutne, ciemne... Nieraz rozplakałam się, czytając, i nieraz musiałam przerwać czytanie, aby klęknąć do mo- dlitwy...

Zamilkła, w smutnem rozpamiętywaniu zato- piona.

— Ale teraz — odzywa się nagle żywo, po- dnosząc błyszczące oczy i złotym puchem włosów potrząsając — będzie pan pisywał inaczej. Nie- prawda?

— Prawda.

— Milej i weselej?

— Milej i weselej.

— Bo widzi pan, w życiu są wprawdzie rzeczy brzydkie i smutne, ale... nie brak też pięknych i jasnych. Wszak prawda?

Zygmunt ujmując miłośniczą rękę narzeczonej.

— Tę prawdę—ze wzruszeniem głębokim mówi—ty dopiero odsłoniłaś przedemną... moja Beatrice!

— Więc „Sfinks“—zamilknie?

— Pochowamy go w piaskach pustyni i przywalimy piramidą. Jego miejsce zajmie — Feniks.

— A ten Feniks?...

— Będzie każdej chwili pamiętał o tem, że choć w życiu są rzeczy brzydkie i smutne, nie brak też pięknych i jasnych.

Lunię tryumf upoił. Za uścisk płaci uściskiem i z namiętnym, nie liczącym się z formami zapalem, wybuchł:

— Kocham pana za to, mój drogi panie Zygmuncie!

Brutalne szarpnięcie dzwonka płoszy nagle urok chwili rozkosznej.

Narzeczeni, niespokojni i gniewni, rzucają sobie wzajem pytające spojrzenia. Któż to przybywa tak nie w porę? Wszakże postanowiono, że dzisiejsza uroczystość odbędzie się w gronie najbliższej rodziny...

Wątpliwość nie trwa długo. Do bawialni, odpychając stojącą na drodze służkę, wchodzi — raczej wbiega, wpada, wlatuje — zadyszana Kręciówna.

Wygląda jeszcze fantastyczniej, niż zwykle. Kapelusz przekrzywiony, z czarnem, wystrzępionem piórem; jeden bok sukni o ćwierć łokcia dłuższy od drugiego; rękawiczki podarte — na policzkach czerwone, zaognione plamy...

Wbiega, wywijając trzymanym w ręku brudnym, papierowym zwitkiem i od progu już wykrzykuje tryumfująco:

— Broszura! Moja broszura! Przyniosłam wam moją broszurę!

Potrząsa silnie ręce Luni i Wacławy, mężczyznom kiwa lekceważąco głową i rzuca się bez ceremonii na kanapę. Kapelusz jej zawadza, podnosi więc rękę do góry i z tyłu głowy wyciąga długą, złamaną szpilkę, przytrzymując zarazem nakrycie głowy i warkocz. Podczas gdy kapelusz, do gniazda wrótnego podobny, zajmuje miejsce na pluszowej okładce albumu, warkocz niby gad zbudzony, rozprostowując się i na plecy jej spada.

Ale Kręciówna drobniutki takie lekceważy.

— Nie macie pojęcia — mówi, zwracając się do Wacławy (ją tylko za należącą do cechu uważa) — com musiała nóg nazrywać i gęby napsuć, zanim moją broszurę wydostałam. Ta indyczka... (tu wymienia nazwisko „panny fizyologicznej“) — intrygowała na wszystkie sposoby aby mnie do głosu nie dopuścić. Ale figa z makiem! Toż dopiero będzie miała głupią minę jak wyczyta jutro w kuryerach, że broszura wyszła! Ha, ha, ha!

Rozwinęła brudny zwitek, przybliżyła go do lampy i wygłasza dobitnie:

— Kobioto! jesteś człowiekiem.

— Przepraszam — odzywa się Justyn — do kogo pani to mówi?

— Do wszystkich kobiet — odpowiada, wykrecając się do profilu. To właśnie tytuł mojej broszury „Kobioto! jesteś człowiekiem.“ Jak się to wam podoba? — zwraca się do Wacławy. Jest w tem siła — co?

— Jest — przytakuje Wacława obojętnie.

— Wiecie o co tamta gęś wścieka się? O to, że wydrwiła jej ulubiony aksjomat: „miłość jest koniecznością fizyologiczną.“ Dowiodłam czarno na białem, że tu niema żadnej konieczności.

Przewróciła naślinionym palcem kartek kilka.

— Rozdział piąty — czyta patetycznie. — „Precz z miłością!“ „Ptaki łowią się na lep, kobiety na miłość. Kobieta zakochana staje się niewolnicą mężczyzny, kobieta zakochana jest rzeczą, z którą mężczyzna zrobić może wszystko, co mu się podoba. Razem z poddaństwem kobiet skończyć się musi tyranizm miłości! Wyrwijmy i zdepczmy to zielsko, które tylko niedowarzoną głowom wydawać się może kwiatem. Ich siła nasza słabość — sprawmy, żeby było przeciwnie. Im pozwalajmy kochać się i waryować; oni niech blekotem miłości opijają się do syta; przed nimi niech domy obłąkanych stoją otworem — my

bądźmy zimne, wyniosłe i nieczule. Głęboka to radość dla serca wyzwolonej kobiety gdy z uśmiechem pogardy na ustach patrzy na tarzającego się stóp swoich mężczyznę...“

— Podobno autorka radości tej nie dozna... — szepece Justyn do ucha narzeczonej.

Wacława nie mogła zapanować nad sobą i — rozśmiała się głośno. Śmiechem pustym wybuchła też Lunia — za Lunią obaj młodzieńcy...

Czerwone plamy Kręciówny zsiwały.

— Cóż to dziś u państwa tak wesoło? — pyta syczącym głosem, spoglądając dokoła ze złością.

— Jak zwyczajnie na weselu, pani dobrodziejko! — odpowiada Justyn, waga pokręcając.

— Jakto na weselu? Alboż tu się kto żeni?

— Pan Remigiusz, Barnaba, dwójga imion, Piórko z panną Domicelą, Martą, Bibianą, trojga imion, Dudzińską do usług pani dobrodziejki!

— Gawron ze sroką — mruczy Kręciówna pod nosem. I gdzież jest ta czuła para?

— Para nowożeńców używa w tej chwili wczasów przedwiecznych w komnacie najbliższej pokoju stołowego. Tu zaś ma pani dobrodziejka przed sobą dwie pary zaręczonych.

Ostatnie słowa podrzucają Kręciównę, naksztalt miny.

— Zaręczonych? — wykrzykuje, zrywając się z kanapy. Więc państwo jesteście zaręczeni? Sliczne rzeczy słyszę! Upadam do nóg. Winszuję, życzę szczęścia. Do widzenia! do widzenia!

Prędką jak kula, z kapeluszem na bakier kipiącą złością i oburzeniem, przebiega bawialnię i za kławkę od przedpokoju porывa.

Wacława zachodzi jej drogę.

— Cóżto? — mówi z wyrzutem. Czyżby wam szczęście przyjaciółki przykrość miało sprawiać?

— Z przyjaźni kwita, a co do szczęścia, to jeszcze babka na dwoje wróżyła. Nie należysz już pani do nas. Jesteś — renegatką.

— Powiedziawszy to, już ma wychodzić, — gdy drzwi od dalszych pokoi otwierają się i staje w nich służąca z hasłem:

— Proszę państwa do stołu!

Słowem tym towarzyszy zapach doskonałych potraw dolatujący z jadalni.

— Zjedzcież choć z nami wieczerzę — zaprasza uprzejmie Wacława.

— Nigdy! za żadną cenę! — odpowiada tamta, wietrząc jednocześnie czerwonym nosem woń kaczki nadziewanej jabłkami.

Lunia pochyła się do jej ucha.

— Będzie leguminka... ta co pani wie... — z kuszącym umizgiem szepece.

Kręciówna jeszcze oburza się, jeszcze walczyć próbuje — wreszcie broń składa i pozwala prowadzić się do stołu.

Tam już działanie smacznych potraw i mocnych win do reszty ją rozbraja. Nie apostołuje, nie spiera się — je tylko i pije za dziesięciu. Opamiętywa ją najpierw miła rezygnacja, potem słodka apatia, wreszcie rozemdlenie rozkoszne. W tym stanie widzi jak przez mgłę powstających i trących się kieliszkami współbiesiadników i słyszy niewyraźnie Zygmunta, który, w zakończeniu długiej dysputy, mówi:

— „Przyroda, spełniając najważniejszy ze swych celów, zbliża obie płcie do siebie; cywilizacja współczesna pracuje uparcie nad ich rozdzielaniem. Z jednej strony pesymizm, z drugiej emancypacja, wykopały dziś pomiędzy mężczyzną a kobietą przepaść, która coraz bardziej rozszerza się i pogłębia. Na szczęście, z pomocą rozdzielonym przybywa miłość i stwarza jednoczące ich na cały żywot — złote ogniwo.“

K O N I E C

Kronika działalności kobiecej.

— W Petersburgu organizują się nowe szkoły dla dziewcząt, zwane Maryjskimi. Będą to szkoły średnie między wyższymi a elementarnymi wykształceniem; program ich będzie taki, jak powiatowych szkół dziewcząt.

— Ponieważ we wszystkich szpitalach obowiązki telezerskie w oddziałach kobiecych spełniać mają wyłącznie kobiety, postanowionem zostało zaprowadzenie kilku szkół telezerek.

— P. Gabryela Rychłowska zamierza wnieść i własnym kosztem utrzymywać w mieście naszym przytułek dla ubogich i chorych służek bez miejsca. Fundatorka zamianowana została przez War. Tow. Dobroczynności główną opiekunką tej prawdziwie miłosiernej instytucji, jednajacej założeńce zasługę prawdziwego miłosierdzia.

— Opiekunkami zakładu dziewcząt, zostające go pod zarządem War. Tow. Dobroczynności, zostały p. p. Bardzka Marya, Marrené Walerya, Puchniewska Leonia.

— Na ostatnim zakupie dzieł sztuki, mieszczących się na wystawie War. Tow. Sztuk Pięknych, delegacja zakupowa nabyła na rzecz Towarzystwa między innymi prace p. p. Braumanowej rzeźbę w terrakocie „Neapolitańczyk“, Dulebianki Maryi studium, Dybowskiej Emilii „Kwiaty“, Gersonówny Maryi rzeźbę w terrakocie „Strzelec“, Kanigowskiej Alfonsy „Kwiaty“ i „Potok w Zakopanem“, Jasińskiej Gabryeli „Na swoich śmieciach“, Stankiewiczówny „Okop“.

— W Muzeum Rzemieślniczym na Krakowskim Przedmieściu, N-r 66, p. Mirosławska zawiadująca salą rysunkową udziela w godzinach od 11-ej do 1-ej w południe, oraz od godziny 7-mej do 9-tej, przeznaczonych na kopiowanie, wszelkich wskazówek osobom, chcącym doskonalić się w malowaniu na drzewie, tkaninach i wyrobach ceramicznych.

— P. Pieńkowska, ziemianka z okolic Grodna, nadesłała na wystawę Salonu Artystycznego kilkadziesiąt przedmiotów z drzewa, wyrobu i pomysłu tej pani, pragnącej wytworzyć tę gałąź przemysłu wiejskiego. Są to przedmioty rozmaite: wazoniki, pudełka, ramki do fotografii z kory leśnej, słupy z dębu.

— Na dorocznej wystawie nasion oraz gospodarstwa wiejskiego, urządzonej staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa, a otwartej d. 15 Lutego, mieścić się będzie dział produktów nabiałowych, oraz dział wyrobów przemysłu domowego wiejskiego, pierwszy pod N-r III, drugi pod N-r V-tym. Obok tego dział I-szy: nasiona i wszelkie rośliny gospodarskie, przedstawia znaczne pole dla okazów z zakresu pracy kobiet.

— Tydzień piotrkowski upomina się u pań ziemianek o bliższy nadzór nad gospodyniami na punkcie pożywienia służby czeladnej. Obowiązkiem pani domu jest, aby doszło każdego uczciwie, co mu się należy.

— Panna Rozalia Pawłowska, ukończywszy studia medyczne na uniwersytecie paryskim ze stopniem doktora, otrzymała miejsce naczelnego lekarza we francuskim szpitalu w Buenos Ayres.

— Francuzkie stowarzyszenie siostr Najświętszej Panny Pomocnej, osiedlone niegdyś w Londynie pod opieką arcybiskupa Westminsteru, kardynała Manninga, zajmuje się wspieraniem ubogich, rozraczając szczególnie opiekę nad młodemi sklepowni i robotnicami fabrycznemi. Siostry przyjmują je na mieszkanie w zakładzie swoim, na warunkach bardzo przystępnych, otaczają przytem opieką jakoby macierzyńską, kształcą je w godzinach wolnych od zajęcia w potrzebnych im wiadomościach technicznych i gospodarstwa domowego. Stowarzyszenie nie jest bogate, ale panie angielskie bez różnicy wyznań hojnie je wspomagają. Znaczna liczba ubogich Irlandek jest tu wspierana.

— Stowarzyszenie pań angielskich, zajmujących się rozdawaniem odzieży między dzieci ubogich rodziców, rozdało odzieży tej ilości znaczną, wprowadzając tę innowację, aby wszystkie dzieci rodzin zamożnych, od których odzież była nadesłana, towarzyszyły aktowi rozdawnictwa, a to pragnąc tym sposobem rozbudzić w sercach młodych wzruszenie litosne. Uczucie prawdziwego miłosierdzia gruntuje się nie tylko na poczuciu obowiązku miłości bliźniego, ale i na miłości tej w sercu noszonej.

— Miss Anna Fletcher, panna doletnia, pracująca na polu etnologii, otrzymała od muzeum etnograficznego w Cambridge zlecenie studiowania w danym zakresie pierwotnych ludów Ameryki, z czego wywiązała się chwalebnie. Otrzymywała ona od Muzeum oprócz honorarium za prace swoje i zwrot kosztów podróży, dietyienne, odpowiadające kwocie szesnastu rubli.

— Miss Marya Glave, irlandka, objeżdża miasteczka i wioski parafialne kraju swego, miewając tam odczyty z zakresu domowej pracy kobiety w rodzinie i wychowania domowego dzieci. Odczyty te odbywają się w Niedziele i Święta w godzinach popołudniowych, na co prelegentka otrzymała nie tylko pozwolenie, ale i błogosławieństwo władzy duchownej. Miejscem odczytów jest zwykle obszerna izba zarządu gminnego. Miss Glave przemawiała ostatniej Niedzieli przed świętami Bożego Narodzenia w przedmiocie, jak święta powinny być spędzane w rodzinie, zgromadzającej się wtedy u ogniska domowego? Nie wyklucza tu ona ucześciwej zabawy, jak to czynią purytanie angielscy.

— Elza Eschelsen kandydatka prawa i filozofii, szwedka, otrzymała pozwolenie króla na doktoryzowanie się w zakresie prawa. Naukowy ten stopień raz pierwszy będzie w Szwecji przyznany kobiecie. Panna ta zamierza poświęcić się zawodowi obrońcy w sprawach kobiecych, tych zwłaszcza, w których kobieta jako taka, osobiście jest dotknięta a to w processach rozwodowych, w processach o opiekę matki nad dziećmi.

— Wdowa po Schlmanie, dotrzymując przyrzeczenia zmarłemu mężowi, osobiście kieruje pracą odkopywania Troi. Pani ta kształciła się przy mężu w archeologii Grecji i zdolna jest dobrze wywiązać się z zadania.

— Rząd japoński zezwolił na praktykę lekarską kobiety, amerykanki z rodu, przeciwieństwo małżonki japończyka, Maryi Suyunuma. Pani ta podała prośbę, aby obok tego wolno jej było wygłaszać odczyty z zakresu higieny kobiet i dzieci, oraz kształcić lekarki chorób kobiecych i dziecięcych.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż zwołany tam będzie zjazd rzeczoznawców w sprawie opadatkowania handlu i przemysłu.

— Ministerium dóbr państwa wprowadza w szkołach rolniczych naukę poznawania i określania gatunków zboża według próbek normalnych.

— Dzienniki petersburskie piszą, iż zwrócą uwagę na działalność towarzystw naukowych w prowincjach nadbałtyckich. Zażądano szczegółowych objaśnień co do zadań i celów każdego z towarzystw czynnych, obok zastrzeżeń

nia, iż żadne z nich nie ma prawa przekraczać w czemkolwiek przepisów, mieszczących się w ustawie.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności przyznało wsparcie dwudziestu czterem ubogim rodzinom naszego miasta w kwocie 200 rs., nadesłanych przez księcia Romana Sanguszkę ze Sławuty.

— W roku bieżącym rada miejska dobroczynności publicznej ma do udzielenia trzy nagrody dla sług do wszystkiego, lub kucharek z zapisu s. p. Józefa Zacharkiewicza za długoletnią, nienaganną służbę w jednej rodzinie stałych mieszkańców Warszawy. Pierwsza nagroda za lat dwa dzieścia służby w warunkach takich, jest 150 rs. druga za lat piętnaście 75 rs., trzecia za lat dziewięć 45 r.

— Kuchnia bezpłatna dla ubogiej ludności miasta naszego została otwarta przy ulicy Waliców, Nr. 13.

— „Ogrodnik polski“ donosi iż p. Lucyan Jurkiewicz przyrzekł nadesłać z Japonii nasiona, owoce rozmaite, przeznaczone w części jako wzory i przedmioty do studyj, w części jako okazy dla muzeum ogrodniczego. W temże piśmie p. Edmund Jankowski podnosi myśl założenia przy muzeum pszczolniczym ogrodu, w którym kobiety uczyłyby się ogrodnictwa. W d. 9 stycznia wygłosił on pogadankę o uprawie truskawek i jeżyn na sprzedaż. Najlepszą jest uprawa sposobem amerykańskim w polu, zastosowana u nas dopiero od lat kilkunastu.

— Wystawa prac nadesłanych na konkurs architektoniczny otwarta w Tow. Sztuk Pięknych liczy dwudziestu wystawców, którzy przesłali 53 prac o 155 tablicach. Znajduje się między niemi Henryk Bastel z Holtzmünden, wystawiający projekt mauzoleum, Zwiedzających zajmuje szczególnie: Rodakowski plan przebudowy starego domu na Nowem Mieście w stylu romańsko-kazimierzowskim, Szymona Widawera projekt muzeum w stylu włoskiego renesansu i kościół w stylu gotyckim.

— W dniu 6 stycznia obchodzono w Łodzi jubileusz pięćdziesięciolecia teatru miejscowego. Początkowo trupy przyjezdne dawały przedstawienia w sali jednego z zajazdów; stały teatr datuje od 1888 r., zostając pod dyrekcją p. Lucjana Kościelskiego, które to miejsce objął z kolei p. Czesław Jankowski. Na przedstawienie jubileuszowe złożyły się dwie oryginalne, typowe nasze sztuki: „Śluby Panieńskie“ Fredry i „Okrężne.“

— W Instytucie gospodarstwa miejskiego i leśnictwa organizuje się orkiestra studencka.

— Tom dziewiąty wyboru pism Kraszewskiego wyszedł z druku. Zawiera on „Zarysy społeczne“, opatrzone wstępem Chmielowskiego. Mieści urywki z różnych dzieł Kraszewskiego, oraz artykuły publicystyczne, w których rysują się najwydatniej kierunki myśli, przekonania, uczucia znakomitego pisarza, którego płodność zadziwiać mogła, zwłaszcza, że było różnorodną. Zawsze przecież czytelnik znajduje tu piękność słowa, malowniczość, wdzięk nieporównany — poezją z doskonale swojskich tematów.

— Podróżnik po Afryce z ramienia Francji, Jan Dybowski, po trzech odbytych wyprawach puścił się tam znowu, zmierzając do Kongo z misją potrójną, bo z poleceniem otrzymanem od ministra oświaty, ministra rolnictwa, ministra handlu. Od przylądka Lopez aż do Loango rozciągają się obszary na 600 kilometrów rozległe, ale bagniste i ztąd pod gorącym klimatem Afryki bardzo niezdrowe; roślinność jest tu niezmiernie bujna, wśród której mieszkają przecieź głównie małpy z gatunku olbrzymów w swoim rodzaju. Kraina ta, zwiedzana już poprzednio przez podróżnika francuzkiego Mizona, nie została jednak

zbadaną pod względem naukowym i geograficznym, w tym też celu Dybowski wysłany tam jest z misją potrójną. Do pomocy dodano mu przyrodnika i agenta handlowego a zwerbowałszy już w Afryce czterdziestu tragarzy i dwudziestu pięciu strzelców, puścił się śmiały podróżnik w głąb kraju z zamiarem dostania się do Kongo w połowie bieżącego miesiąca, z postanowieniem przebywania tam do przyszłej jesieni. Dybowski jest profesorem w paryżkim instytucie agronomicznym, przytem wykształcony wysoko w naukach przyrodniczych, może oddać przez tę podróż swoją wielkie usługi tak Francji, jak w ogóle nauce.

— Rudolf Falb wygłosił w Lipsku odczyt o powstaniu i końcu świata, który może nastąpić nie długo, ponieważ grozi ziemi wielkie niebezpieczeństwo starcia się z kometą, odkrytą przez astronomów w 1866 r., a która posuwa się wciąż w stronę ziemi. Ma ona ukazać się na naszym horyzoncie w 1899 r. i wedle obliczeń przypuszczalnych musi znaleźć się w bliskości ziemi — zetknąć się z nią. Na podstawie tychto hipotez Falb wyrachował, iż nastąpi to przypuszczalnie d. 13 listopada 1899 r. Termin ten, jak Falb dowodzi, może być mylnie oznaczonym co najwyżej o dzień jeden, dwa może. Gdyby zetknięcie się to nie nastąpiło, czy nasze ujrzałyby wiele zjawisk, nie oglądanych jeszcze przez człowieka; między innymi ma spadać na ziemię deszcz, a raczej śnieg, gwiazd, które w dniach od 13 do 15 listopada 1899 r., między godziną drugą a piątą po północy zasypią ziemię jakoby śniegiem.

— W teatrze krakowskim przedstawiono w poniedziałek świąteczny jasełki, układu ks. Walczyńskiego z Tarnowa ze współudziałem amatorów: uczni szkół. Za kulisami śpiewały chóry; dochód z przedstawienia oddano całkowicie na cele dobroczynne.

— W paryżkiem Tow. Geograficznem wygłosił ciekawy bardzo odczyt członek ambasady chińskiej Li-Chao-Pee. Chiny posiadają liczne szkoły medycyny, języków obcych, mają koleje żelazne, telegrafy, armię dobrze uzbrojoną. W Pekinie załoga składa się z 13.000 żołnierzy, uzbrojonych na sposób europejski; w prowincyi Pe Aszli jest ich 180.000, w całym państwie 1.038.000 i w razie potrzeby mogła by stanąć do boju armia kilkamilionowa. Flota dzieli się na północną i południową, ta ostatnia składa się z dwunastu krążowników, ośmiu łodzi kanonierskich, jedenastu okrętów pocztowych; flota północna liczy dwa okręty pancerne, takąż fregatę, jedenaste łodzi kanonierskich i czterdzieści jeden okrętów torpedowych. Załoga składa się z 30.000 majtków a w szkole marynarki kształci się wielka liczba młodzieży. Prelegent dodał na zakończenie, że literatura peryodyczna Chin szczyci się gazetą, urzędowym organem pekińskim, założonym jeszcze w ósmym wieku przed Chrystusem.

— Robert Vischer, podróżnik niemiecki, przesłał do dziennika wychodzącego w Düsseldorfie zawiadomienie, że „jako dobry syn swego kraju i wielbiciel poezyi“ wystawił w dziewiętych lasach Afryki, pod palmami, pomnik Heinemu. Jest tam umieszczona na jednej z nich tablica pamiątkowa z odpowiednim napisem. Vischer przesłał zarazem fotografią pomnika.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Z biegiem fal**, przez M. Braddon, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Kobieta w starożytnym Rzymie przez Józefę Żdzarską. — Pierwszy występ nowella Sewera (dalszy ciąg). — Juliusz Słowacki w Egipcie, przez Ferdynanda Hösicka — **Złote ogniwa**. Powieść Wiktora Gomułickiego (dokończenie). — **Kronika działalności kobiecej**. — **Z bieżącej chwili**.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty **Z biegiem fal**, powieść, przez M. Braddon. — 26 wzorów i robót z opisem. **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Доволено Цензурою. — Варшава, 5 Января 1894 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.